

PETER
GALLERT
JÖRG
REITER

Wiara, miłość, śmierć

KRONIKI MARTINA BAUERA



Glaube liebe tod – Peter Gallert, Jörg Reiter

© by Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin.

Published in 2017 by Ullstein Taschenbuchverlag

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Tłumaczenie z języka niemieckiego: ANNA BITTNER

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Projekt okładki: PANCZAKIEWICZ ART DESIGN

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografie użyte na okładce:

#138290720 / baiterek_media / Fotolia.com

#193661093 / Chamille White / Shutterstock.com

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-82-8



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA im. W. L. ANCZYCA S.A

PETER
GALLERT
JÖRG
REITER

Wiara, miłość, śmierć

KRONIKI MARTINA BAUERA

Tłumaczenie
ANNA BITTNER



WYDAWNICTWO
INITIUM

KRAKÓW 2019

1

Pocił się. Kurtka munduru nieprzyjemnie ocierała mu kark. Stracił czucie w palcach. Lodowaty metal paraliżował mu ręce, a zimno przenikało go do szpiku kości. Nie miał siły, by się puścić. Nie było to jednak konieczne – jego napięte do granic możliwości mięśnie same za niego zdecydują. Spojrzał w dół, na rzekę obojętnie podążającą w kierunku morza. Łódka policji wodnej walczyła z prądem, by utrzymać swoją pozycję. Wyglądała jak zabawka, którą kiedyś sprezentował synkowi na Boże Narodzenie. Niemożliwe, żeby to było aż dwanaście lat temu.

Było cicho. Policja zamknęła most dla ruchu dokładnie w godzinie szczytu. Najprawdopodobniej zablokował połowę Zagłębia Ruhry. Nie słyszał kolegów, którzy na jego polecenie trzymali się na dystans, wiedział jednak, że są na niego wściekli. Znowu czekały ich nadgodziny i telefony do domu: „Kochanie, wrócę później”. Jak długo normalne małżeństwo może wytrzymać taką pracę? Jak długo znosił to jego związek? Kiedy zaczął się rozpadać? I dlaczego tego nie zauważył? Nie miał bladego pojęcia.

Usłyszał sygnał policyjny i obejrzał się. Cywilne auto z nałożonym kogutem pędziło pasem postojowym w kierunku mostu. Ciekawe, kogo przywieźli? Psychologa od negocjacji? Chyba

nie – facet, który wyskoczył z auta, też nosił mundur. Wszystko jedno zresztą, to nie grało żadnej roli. Keunert przechylił się jeszcze bardziej, dolna część barierki wpiła się mu w ścięgna Achillesa. Stał po jej złej stronie i nie miał już żadnej opcji powrotu.

Martin Bauer na początku kariery spróbował zawrzeć z Bogiem układ: im mniej ofiar śmiertelnych, tym mniej papierosów. Przez te wszystkie lata liczba trupów się nie zmniejszyła, mimo to do dziś dotrzymał umowy. Dni, w których nikt nie umarł, w których nie nadeszły informacje o ofiarach, były dla niego dniami bez papierosa.

Człowiek na moście żył. Jeszcze żył. Walter Keunert, sierżant policji, żonaty, jedno dziecko. Bauer poprosił o przeczytanie mu danych z akt, gdy pędził służbowym autem prowadzonym przez Verenę Dohr po pasie postojowym na kompletnie zakorkowanej autostradzie A40. Mijając kilometrowy sznur aut, widział w oknach samochodów uciekające twarze. Malowała się na nich złość.

– Zbyt mało danych, żebym mógł je wykorzystać – stwierdził Bauer.

– Musi to panu wystarczyć. – Młoda komisarz ostro zahamowała.

Zatrzymała się z przodu mostu, niecały metr przed stojącym w poprzek radiowozem.

Bauer wyskoczył z auta, zanim Verena wyłączyła silnik. Policjanci przywitali go kiwnięciem głowy. Bauer znał niektórych z nich od lat; inni wyrażali respekt przed jego rangą. Pagony jego kurtki wyróżniały się dwoma małymi krzyżami zamiast znanych im gwiazdek, określających stopień służbowy. Policjanci na posterunku liczyli się z nim. Trochę to trwało, ale w końcu stał się

jednym z nich; poznał ich lęki i problemy do tego stopnia, że sam je przejął.

Podszedł do niego oficer dowodzący. Bauer tylko potrząsnął głową, biegnąc między radiowozami.

– Mam iść z panem? – usłyszał wołanie Vereny.

– Nie. – Nawet się nie odwrócił.

Keunert stał w najwyższym punkcie mostu, po zewnętrznej stronie barierki. Z daleka wydawało się, że wykonał niewielki ruch, ale Bauer był pewny, że sierżant pochylił się do przodu. Zaczął biec. Przejeżdżał przez ten most setki razy, w normalnych warunkach zajmowało mu to niecałą minutę. Teraz był sam na pustym moście. Słyszał uderzenia swoich butów o asfalt. Wzniesienie drogi, którego, siedząc w aucie, nigdy nawet nie zauważył, teraz sprawiało wrażenie góry; oznakowania pasów drogowych, które normalnie mijał w mgnieniu oka, w tej chwili kosztowały go zadyszkę; jezdnia wydawała się szersza niż płynąca pod nią rzeka, a droga, którą musiał przebyć, by dotrzeć do pochyłającego się w kierunku śmierci mężczyzny, nie miała końca. Bauer biegł na granicy sił.

Poczucie, że stoi w miejscu, rosło wraz z lękiem, że dotrze na miejsce za późno. Nie miał szans na zwycięstwo. Nie w ten sposób. Zmniejszył tempo. Widział, że Keunert go obserwuje. To dobrze. Czuł na plecach denerwujące spojrzenia policjantów. Wszystko jedno. Szedł, szybko, ale bez pośpiechu, z każdym krokiem wyrównywał oddech i uspokajał się.

Gdy doszedł do połowy mostu, nie bał się już niczego. Jeszcze dziesięć metrów. Keunert nie spuszczał go z oczu. Jeszcze pięć.

– Zatrzymać się!

Bauer przeskoczył przez barierkę.

– Mówię serio!

Zatrzymał się tuż przy poręczy mostu, niecałe trzy metry od Keunerta. Widział pot na jego czole, ciemne plamy na kołnierzu jego kurtki, zbiegające kostki zeszywniałych rąk, ściskających barierkę. Policjant miał głębokie cienie pod zaczerwienionymi oczami, tak jakby od dawna nie spał albo od dawna pił, ale jego spojrzenie było klarowne.

Bauer znał tego człowieka. Nie miał pamięci do nazwisk, ale twarzy nigdy nie zapominał. A tę dopiero co widział, jakiś tydzień wcześniej. Podczas obławy w burdelu w Vulkanviertel jedna z dziewczyn rzuciła się przez okno. Uderzyła w asfalt cztery piętra niżej, tuż przed jednym z aspirantów, w którego ramionach zmarła, nie odzyskawszy przytomności. Wezwano Bauera, ale gdy przyjechał, jeden z doświadczonych policjantów zajął się już nowicjuszem. Bauer nie spytał wtedy o jego nazwisko, ale teraz je poznał – Keunert.

– Jak się czuje pański młodszy kolega?

– Proszę jego spytać – zripostował Keunert. – Proszę odejść i jego spytać!

Bauer spojrział w dół.

– Czemu nie użyje pan swojej broni? Miałby pan stuprocentową pewność.

– Widział pan kiedyś, jaki potem jest bałagan? – Bauer przytaknął. – Ostatnie Boże Narodzenie, mała dziewczynka w Marxloh.

Tragedia rodzinna. Pisano o niej we wszystkich gazetach.

– Był pan tam? Jeden z moich kolegów też. Przykro mi.

Keunert wyglądał na poruszonego.

– Panu chyba nie musi być przykro – prychnął. – Nie ma pan o mnie najmniejszego pojęcia. – Patrzył w wodę.

– Proszę mi więc o sobie opowiedzieć.

Keunert milczał przez chwilę; bezgłośnie pracowały mu mięśnie szczęki. A potem spojrzał na Bauera i całkiem spokojnie powiedział:

– Proszę odejść.

Duchowny spojrzał mu w oczy i zrozumiał, że mężczyzna widzi przed sobą już tylko jedną drogę – w dół. Nie wahając się ani sekundy, zdjął kurtkę.

– Co pan robi?

Bauer zacisnął dłonie na barierce. Było zimno. Podciągnął się i przełożył jedną nogę na drugą stronę barierki.

– Co pan wyrabia?

Przełożył drugą nogę i opuścił się po zewnętrznej stronie. Na wąskim gzymsie mieściły się tylko koniuszki jego stóp.

– Oszalał pan?

Bauer odwrócił się w kierunku wody, zmieniając pozycję rąk. Gdy oderwał jedną z nich, by ją przełożyć, poczuł w brzuchu ciężką, niemal przyjemnie ssącą siłę wody. Wolną dłonią ledwie udało mu się chwycić barierkę za sobą, na której od razu zacisnął palce.

– Jest pan nienormalny!

– A pan nie ma odwagi się puścić – odciął się Bauer. – Czekam pan, aż pańskie ręce dadzą za wygraną, prawda? Cholernie się pan boi.

– A pan nie? Myśli pan, że pański Bóg pana ochroni?

– Sądzi pan, że Bóg istnieje?

Keunert spojrzał na niego, zaskoczony.

– To pan jest klechą, ja się na tym nie znam!

Bauer wzruszył ramionami.

– Zobaczymy.

– Dlaczego „my”?

Bauer nie odpowiedział. Patrzył w dół, na rzekę. Była cholernie daleko. Obaj w milczeniu stali nad przepaścią. Cały świat się zatrzymał, tylko rzeka nadal płynęła, równomiernie i niepowstrzymanie. Bauer nie był w stanie oszacować, czy minęły sekundy czy może minuty, gdy rozbrzmiał ostrzegawczy sygnał łódki policyjnej. Usłyszał barkę, jeszcze zanim pojawiła się pod jego nogami. Przesuwała się szybko, silnik pompował ropę w tym samym rytmie, co uderzenia jego serca. Gdy odplynęła, wszystko ponownie ucichło.

– Pan nie jest samobójcą – powiedział Bauer. – Samobójcy są egoistami. Chłopak czy dziewczyna?

– Co?

– Nie chce pan, by pańskie ciało wyglądało jak rzeźniczy stół. Chce pan zaoszczędzić tego widoku dziecku. Ma pan syna czy córkę?

Keunert przelknął ślinę. Bauer strzelił w dziesiątkę.

– Syna – wydusił. – Piętnaście lat. Już mnie nie potrzebuje.

– Bzdura. – Keunert milczał. – Przecież pan wcale nie chce umrzeć.

– Mimo to skoczę.

– Nie umrze pan.

– Co to znaczy?

– Jest pan policjantem...

– Być może nim byłem – przerwał mu gorzko Keunert.

Bauer niewzruszenie potrząsał głową.

– Nie można przestać nim być. Nie ktoś taki, jak pan. Uratuje mnie pan.

– Uratuję? Co to za bzdury?

– Mam nadzieję, że jest pan dobrym pływakiem. Bo ja nie. – Bauer spróbował się uśmiechnąć. I puścił barierkę.

Oczy policjanta rozszerzyły się ze strachu. Duchowny przez moment jeszcze tkwił w stanie zawieszenia, po czym skoczył.

Policjant patrzył, jak spada w toń, jak macha ramionami i jak – wyprostowany niczym struna – po zdecydowanie zbyt długim locie rozbija stopami ciemną taflę.

– Co za świnią! – dyszał ciężko.

A potem też skoczył.

Verena Dohr miała złe przeczucia, gdy zobaczyła, jak Bauer w połowie drogi przestał biec i ruszył spokojnym marszem. Nie wierzyła w intuicję, wołała się trzymać faktów, które dawały jej możliwość działania.

– Pani ksiądz już wysiadł – kpił oficer dowodzący, stojący obok Vereny. Był dwa razy starszy od niej.

– Zamknij się.

Mężczyzna z niedowierzaniem popatrzył na młodszą koleżankę z wydziału kryminalnego. Jedno jej spojrzenie zamknęło mu gotowe do protestu usta.

– To nie jest mój ksiądz – odpowiedziała Verena. – I wie, co robi.

Jej wzrok znów podążył za Bauerem. Wszyscy przyglądali się, jak powoli idzie po moście, nikt nic nie mówił. Patrzyli, jak dociera do samobójcy, zdejmuje kurtkę i wspina się na barierkę.

– Jest pani pewna? – warknął dowódca.

Tym razem Verena nawet na niego nie spojrzała. Co Bauer, do cholery, planował? W tym samym momencie zaskoczyła. Odwróciła się i popędziła w kierunku karetki.

– Biegiem! – krzyknęła do sanitariuszy.

Bez chwili wahania pobiegła do schodów dla pieszych, prowadzących na brzeg rzeki.

Dowódca spojrzał na nią z zaskoczeniem, a potem usłyszał zmieszane szepty kolegów. Odwrócił się. Most był pusty.

Na brzegu Bauer rzygał wodą z Renu. Verena stała obok i patrzyła na niego bez krzty współczucia. Jeden z sanitariuszy podtrzymywał kompletnie przemoczonego duchownego.

– Najlepiej wszystko wyrzygać, przynajmniej nie dostanie pan sraczkę. – Bauer haftował tak długo, aż zaczął zwracać żółć. – Głęboki wdech i myśleć o czymś przyjemnym, to zawsze pomaga! – Sanitariusz niemal matczynym gestem głaskał Bauera po plecach. Ten, ciężko dysząc, spróbował się wyprostować. – Pomału! Lepiej niech pan najpierw usiądzie. – Bauer potrząsnął głową, nie był jeszcze w stanie mówić. – No dobra, ale proszę mi tu nie zemdleć!

Sanitariusz opatulił duchownego folią termiczną. Bauer nie zwracał uwagi na ponure spojrzenie Vereny. Szukał wzrokiem Keunerta, który właśnie odepchnął innego sanitariusza i zbliżał się do Bauera. Cały ociekał wodą.

– Jest pan cholernym szaleńcem! – darł się. – Co pan sobie, do cholery, wyobraża!

– Ja też chciałabym to wiedzieć – zawtórowała mu Verena.

Bauer udał, że ich nie słyszy.

– Żyje pan – wyjąkał.

– Cholerny dupek – syknął Keunert, po czym odwrócił się i odszedł.

– Hej, gdzie pan idzie? – zawołała za nim Verena. – Proszę się nie oddalać!

Chciała pobiec za Keunertem, ale Bauer chwycił ją za ramię.

– Proszę go zostawić.

– Serio? A jak znów wdrapie się na most i będzie próbował skakać?

Bauer potrząsnął głową.

– Jest na to zbyt wściekły.

– W takim razie czuje się dokładnie tak jak ja!

Zbliżył się do nich oficer dowodzący z dwoma kolegami z policji wodnej, jeden z nich był przemoczony do suchej nitki. Oboje mieli nietęgie miny.

– Zawiezie mnie pani do domu? – Bauer uśmiechnął się półgębkiem do Vereny.

Z trudnością wdrapał się na skarpe, najbardziej stromy odcinek pokonał na czworakach. Poza Vereną nikt tego nie widział, dowódca i policjanci z komisariatu wodnego nie zwracali już na niego uwagi. Verena wrobiła ich w dyskusję o zakresie obowiązków, zanim zdążyli naskoczyć na Bauera. Teraz stali na brzegu i klócili się, który z nich musi spisać raport. W jednej kwestii się zgadzali – a mianowicie, że policyjny duchowny jest kompletnie świrnięty.

Na stromych, krętych schodach prowadzących na most całkowicie zawiodyły siły Bauera. Jego ubranie było lodowate i nieprzyjemnie kleiło się do ciała, każdy oddech powodował nieznośny ból, a nogi nie przestawały drżeć. Zatrzymał się; idąca za nim Verena milczała. Stała jeden schodek dalej, w każdej chwili gotowa do pomocy. Bauer nie wątpił ani sekundy w tę gotowość, mimo że kobieta była prawie o głowę niższa i na pewno o dwadzieścia kilo lżejsza od niego.

– Muszę wrócić do sportu – wydusił przeprasząco.

– Proponuję skoki do wody – odpała.

Bauer nie mógł powstrzymać śmiechu. Poczul, jak jego przepona się kurczy, a za chwilę wsparło go ramię kobiety. Z trudem udało mu się przejąć kontrolę nad oddechem.

– Już lepiej? – Verena miała poważny wyraz twarzy.

Przytaknął, ale nadkomisarz nie puściła go, aż dotarli na górę.

Ruch na autostradzie wracał do normy. Policjanci przestawili radiowozy na boczny pas i przepuszczali kierowców. Przy samochodzie służbowym Vereny czekał siwowłosy mundurowy o zmęczonej twarzy. W ręce trzymał kurtkę – na jej pagonach widniały małe krzyże.

– Dziękuję – powiedział, ściskając dłoń Bauera. Podał mu kurtkę i bez słowa wrócił do kolegów.

Bauer włożył kurtkę, a potem wraz z nadkomisarz wsiedli do samochodu. Przemierzyli most w ciągu niecałej minuty.

Jechali, milcząc. Bauer spoglądał przez okno, gdy mijali zakłady chemiczne. Ściemniało się, trząsł się z zimna, wszystko go bolało. Zaryzykował swoje życie, uratował inne, ale czuł pustkę.

Zbliżali się do Białych Olbrzymów – były to wysokie na dwadzieścia pięter koszmarki architektoniczne, które powstały w latach siedemdziesiątych, zastępując połowę starego osiedla górniczego, zrównanego w tym celu z ziemią. Verena skręciła w jego drugą połowę. Wąskie alejki wiły się wśród sękatych drzew oraz solidnych, przypominających angielskie osiedla, ceglanych domków z niewielkimi ogródkami, pełnymi zieleni. Przed jednym z nich Verena

się zatrzymała. Ciepłe światło sączyło się z okien na parterze, samochód żony Bauera stał na podjeździe, rower jego córki leżał na środku ścieżki, prowadzącej do drzwi wejściowych.

Poczuł, że jest w domu.

Verena wyłączyła silnik.

– Zdaje sobie pan sprawę, że dzisiejszy wybryk pociągnie za sobą konsekwencje? Lutz od dawna chce się pana pozbyć.

– Nie ma szans. Nie jest moim szefem.

– Ale jest moim, do cholery!

– Nie zrobiła pani nic złego.

– To ja wciągnęłam pana w tę akcję!

– Powiem, że przechodziłem tamtędy przypadkowo. Most mam przecież po drodze na komendę.

– Gównu pan powie! Nie potrzebuję osłony, a już na pewno nie od pana!

Bauer spojrział bezradnie na nadkomisarz. Jej oczy były pełne złości.

– Czemu jest pani na mnie taka zła?

– Nie jestem zła. Po prostu nie mam ochoty przyzwyczajając się do kolejnego świra z pańskiej branży. Po panu mam już serdecznie dość.

Bauer się uśmiechnął.

– Proszę przestać się szczyrzyć – warknęła i włączyła silnik. – Wynocha!

Wysiadł. Verena ruszyła z kopyta, drzwiczki samochodu zatrzasnęły się, zanim zdążył jej podziękować.

Z trudem podniósł rower córki i odstawił go na bok. Przez kuchenne okno widział żonę – przechadzała się, telefonując.

Taka była Sarah, ciągle w ruchu. Nietypowe były natomiast pionowe zmarszczki na jej czole, które pojawiały, tylko gdy się denerwowała lub martwiła. Bauer zawahał się, a potem minął drzwi wejściowe i poszedł do ogrodu.

2

Tilo Keunert był wściekły. Złość nie opuszczała go ostatnio. Złość na ojca. I na matkę. Na wszystko. Na całe to zasrane życie.

Teraz był wściekły na siebie. Dwadzieścia razy próbował trafić do kosza i dwadzieścia razy piłka powinna w nim wylądować. Wysokość, kąt i rotacja pasowały. Wszystko jednak psuła jego złość, z którą uderzał piłką w tablicę kosza.

Grali dwóch na dwóch: Tilo i Tomaso przeciwko Özgürowi i Kallemu.

Kolejny atak. Tomaso podał piłkę do Tila. Özgür zablokował najkrótszą drogę do kosza, Kalle krył Tomasa. Tilo przekozłował piłkę do tyłu, między swoimi nogami, a potem za plecami z powrotem. Ten ruch był czystą rutyną, nawet nie spojrzął za siebie. Perfekcyjny moment.

Ręka Özgüra wystrzeliła do przodu. Idealnym zwodem Tilo wykatapultował się ze środka boiska, ogrodzonego siatką i oświetlonego ostatnią działającą latarnią, w otaczający go półcień.

Tomaso udało się wykiwać Kallego, miał wolną drogę do kosza.

– Tutaj! – zawołał do Tila. Ten jednak nie zareagował. Nie chciał podać piłki, czekał na kolejny perfekcyjny moment.

Özgür zepchnął go na skraj boiska. Był o głowę wyższy od niego i miał posturę stałego klienta siłowni. Tilo za to był dynamiczny i zwinny.

Szybkie dryblowanie i zwody wyprowadzały Özgüra z równowagi. Dzisiaj jednak to on był w świetnej formie, Tilo nie dawał rady go wykiwać.

– Zapomnij o tym... – wydyszał Özgür.

Tilo słyszał za sobą bluzgi Tomasa, który wkurzony czekał na podanie.

Przekleństwa, sapanie i surowy odgłos piłki, odbijającej się od asfaltu były jedynymi dźwiękami rozlegającymi się w tej paskudnej części zieleńca. O tej godzinie wszyscy mieszkańcy osiedla gapili się w telewizor – ci, którzy skończyli pracę, i ci, którzy żyli z socjału.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?! Podawaj! – wkurzył się Tomaso, który wreszcie chciał się włączyć w grę, mimo że zazwyczaj nie udawało mu się trafić do kosza więcej niż dwa, trzy razy na mecz.

Tilo poczuł nagle, że ma dość. Pieprzyć perfekcyjne momenty. Rzucił się frontalnie na zaskoczonego Özgüra i wbił mu ramię w splot słoneczny. Chłopak upadł. Tilo dopadł kosza trzema krokami. Podskoczył, piłka trafiła w tablicę w idealnym miejscu, ale jak zwykle za mocno. Kalle przejął piłkę jeszcze w powietrzu i zaliczył punkt.

Özgür leżał na boisku i próbował złapać oddech.

– Pieprzony ciapatol...!

– Sorry. – Tilo wzruszył ramionami.

Podniósł piłkę, ale wściekły Tomaso podszedł i wybił mu ją z ręki.

– Pierdolę taką grę. Sam sobie graj!

Kopnął piłkę przez pięciometrowe ogrodzenie, szturchnął stojącego mu w drodze Tila, a potem podszedł do wysmarowanej we wzory graffiti ławki, przymocowanej na brzegu boiska, skąd wziął swoją kurtkę.

– Zaszrany ciapatol! – Özgür wstał; jego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Weź... – Tilo próbował załagodzić sytuację.

– Odpierdol się!

– Co powiecie na kino? – Pytanie Kallego było skierowane do Özgüra i Tomasa. Tilo hardo stał pod koszem i przyglądał się, jak wkładają kurtki.

Özgür demonstracyjnie wywalil kieszenie na lewą stronę.

– Wyluzuj, stary. – Kalle się uśmiechał. – Dzisiaj wchodzimy za free.

Kalle miał koleżankę, która dorabiała w kinie i czasem wpuszczała ich przez wyjście ewakuacyjne. Raz ich przyłapano, kierownik zadzwonił po gliny i odwieźli ich na posterunek. Gdyby akurat wtedy stary Tila był na służbie, nie wyszliby z tego bez szwanku. Na szczęście oficer dyżurny go znał i przekonał kierownika kina do wycofania zgłoszenia.

Chłopcy zeszli z boiska, nawet nie spoglądając na Tila.

Pieprzyć to. Tilo kopnął kubek po coli w róg, gdzie wiatr zawsze zwiewał śmieci po fast foodzie.

Z ponurym nastawieniem grzebał w krzakach. W ciemności nie miał szans jej znaleźć. I tak było mu wszystko jedno – piłka była tylko prezentem.

Wcześniej boisko zamykano wieczorami, ale młodzież włamywała się na nie tak często, że Zakład Zieleni Miejskiej w koń-

cu opuścił. Kilkoro mieszkańców, ciągle wkurzonych hałasem na boisku, regularnie składało skargi na posterunku policji. Czasami podjeżdżał radiowóz i jeśli policjanci byli dość szybcy, udawało im się skonfiskować piłkę, która potem leżała na komendzie, aż któryś z funkcjonariuszy zabrał ją do domu. Taką właśnie, przyniesioną przez Tila piłką, przedtem grali.

I co teraz? Sama myśl o powrocie do domu przyprawiała go o odruch wymiotny. Jeszcze tylko dwa lata i będzie miał szkołę z głowy. O ile da radę tyle wytrzymać, przyglądając się, jak wykańczają ojca. Jeśli kiedykolwiek będzie taki jak on, strzeli sobie w łeb.

Tilo opuścił park i wszedł na pusty chodnik. Trzymał się blisko zieleńca, gdzie było ciemniej. Od domu dzieliły go jeszcze tylko dwa zakręty i przejazdka windą na najwyższe piętro, ale nie spieszyło mu się.

Dom...

Wszystkie trypokojowe mieszkania na osiedlu miały taki sam układ. We wszystkich w tym samym miejscu stał telewizor, w każdym oknie przebłyskiwało przez zasłony takie samo niebieskie migotanie. Zastanawiał się, jakby to było mieszkać w innym kraju. Gdzieś na południu, gdzie wszyscy spędzali wieczory na ulicy i naprawdę żyli.

Nie zauważył mężczyzny, który obserwował go od dłuższego czasu, a teraz bezszelestnie przesunął się przez ciemny park, równoległe do chłopaka, nie spuszczając go z oczu.

Tilo doszedł do wniosku, że jutro po szkole nie będzie miał szans na znalezienie piłki. I co z tego? Kumple i tak na pewno nie mieli na razie ochoty z nim grać. Zresztą niech sobie sami zorganizują piłkę. Mieli rację – znów zachował się jak ostatni gnojek.

Rano matka się awanturowała: miała dość dwu- i trzygwiazdkowych hoteli, raz w życiu chciała spędzić urlop w pięciogwiazdkowym, w Marbelli albo na Côte, a gdyby ojciec nie był taki głupi, to na pewno mogliby sobie na taki urlop pozwolić i tak dalej, standardowa śpiewka. Ojciec nie odezwał się ani słowem. Wiązał służbowe buty, jakby to było najważniejszą rzeczą na świecie. Gdy wychodził, odwrócił się, dziwnie na nich popatrzył i cicho powiedział, że przepraszam, za wszystko. A potem po prostu sobie poszedł. Co za ofiara losu! To wszystko było do wyrzygania.

Usłyszał szelest i podniósł wzrok. Dziesięć metrów przed sobą zauważył mężczyznę, który wyszedł z krzaków. Tilo nie mógł dostrzec jego oczu, było na to za ciemno, ale mężczyzna najwyraźniej mierzył go wzrokiem i szedł prosto na niego. Przypominał mu boksera wychodzącego z narożnika ringu. Poczul impuls, by uciec. Ale jakby to wyglądało, jeśli to tylko niegroźny facet? Przeszedł więc na drugą stronę ulicy.

Kątem oka zauważył, że mężczyzna też zmienił stronę. Niech to szlag! Dzielili ich już tylko kilka metrów i było za późno na ucieczkę. Tilo miał w kieszeni dwadzieścia euro. Jeśli wyjąłby banknot...

Uderzenie pięścią trafiło go nagle z siłą spadającej cegłówki, tuż nad prawym okiem. Usłyszał swój własny krzyk, a potem kolejny, jeszcze silniejszy cios trafił go w splot słoneczny i katapultował w próżnię. Tilo upadł.

Na którymś z wyższych pięter otworzyło się okno. Przez moment pomyślał, że powinien zawołać o pomoc, ale nie mógł złapać tchu. Okno szybko się zamknęło.

Mężczyzna pochylił się nad nim. Tilo poczuł nieświeży oddech, zapach dymu papierosowego, zwietrzałego piwa i czosnku.

Pomyślał, że powinien ochronić głowę, ale nie był w stanie unieść ramion. Nieznajomy coś mówił, jego akcent brzmiał tak, jakby nawet na strunach głosowych miał mięśnie. Tilo nic nie rozumiał, więc mężczyzna zaczął mówić wyraźniej:

– Ty, praworęczny?

Dziwne pytanie. Tilo kiwnął głową, a wtedy twarde palce zacisnęły się jak imadło wokół jego lewego nadgarstka.

– Zaraz będzie po – powiedział spokojnie mężczyzna.

Chłopak usłyszał trzask, jakby ktoś nadepnął na suchą gałąź, a potem poczuł palący ból, który wystrzelił wzdłuż ramienia, aż po bark. Mężczyzna odwrócił się i odszedł. Tilo zmusił się, by spojrzeć na swoją rękę. Najpierw zobaczył środkowy palec, sterzący pod dziwnym kątem, a potem ogarnęła go ciemność.

3

W tej chwili Sarah Bauer naprawdę nienawidziła swojej córki. Przerażało ją to uczucie. Wstydziała się go, ale doświadczała go nie pierwszy raz. Poza tym знаła jego przyczynę. Sarah nie należała do osób, które okłamują same siebie. Wszystko było w niej prostolinijne – sylwetka, sposób bycia i miłość.

Wcale nie chodziło o Ninę. Sarah twierdziła, że przekraczanie granic to święte prawo każdego nastolatka. Mimo zakazu rodziców dziewczyna zdecydowała się ratować świat. Sarah zawsze była dumna z odwagi córki, ale dziś powodowała w niej lęk.

Przez prawie godzinę obdzwaniała rodziców znajomych Niny. Gdy skończyła, była pewna tego, co podejrzewała od początku: jej piętnastoletnia córka wyjechała do Deauville z grupą przeciwników globalizacji, żeby protestować przeciwko szczytowi G7. Nagle ogarnął ją strach. Na kilka minut zamarła w pół ruchu, ręka z telefonem zawisała w powietrzu.

Mieli taką zasadę – gdy jej mąż był na interwencji, żadnych prywatnych rozmów na telefon służbowy. Sarah złamała ją tylko raz, gdy Ninę w drodze do szkoły potrącił samochód i została odwieziona do szpitala z pękniętą śledzioną. Mimo to siedziała pod salą operacyjną sama. Podczas gdy ona drżała o życie córki, jej mąż wspierał obcą osobę, która umierała na jakiejś autostradzie,

zakleszczona we wraku samochodu. Gdy Martin wreszcie dojechał, Nina budziła się z narkozy. Pierwszym spojrzeniem odszukała ojca. Otarła jego lzy, była dzielna dla niego. Ból i strach zachowała dla matki. To było niesprawiedliwe. Nina kochała ojca bardziej niż matkę. Nie zasłużył na to, nawet przy niej nie był, gdy go potrzebowała. Sarah była zazdrosna – i tego też się wstydziała.

Nigdy nie zapisała w telefonie numeru służbowego męża. Znała go na pamięć. Teraz wybrała go, przeszła do salonu i otworzyła drzwi do ogrodu. Wraz z chłodnym powietrzem do pokoju wpadł delikatny zapach papierosowego dymu. Sarah usłyszała dzwonek wcześniej niż sygnał w swoim telefonie. Mąż siedział pod czereśnią – na ławce, na której siadywał jeszcze jego ojciec. Wyjął komórkę. Twarz mężczyzny z papierosem w ustach oświetlił ekran. Spojrzał w jej stronę. Sarah przerwała połączenie.

Było zbyt ciemno, by mógł rozpoznać minę żony. Po jej krokach domyślił się jednak, że pionowa zmarszczka na jej czole się pogłębiła. Gdy Sarah stanęła przed nim, wyjął papierosa z ust.

– Przyłapałaś mnie. – Uśmiechnął się lekko.

– Nina wyjechała.

To zdanie zabrzmiało jak uderzenie. Bauer powoli kiwnął głową.

– Z tą grupą?

– Tak. Nawet cię to nie zaskoczyło?

– Kto uratuje świat, jeśli nie zrobi tego nasza córka? – Znowu spróbował się uśmiechnąć, ale nic nie wskórał. Sarah rozłożyła się jeszcze bardziej.

– Ona ma piętnaście lat!

– Inni będą mieć na nią oko.

– Nawet wtedy, gdy zostaną spalowani?
– Sarah, Deauville to nie Genua. Nic takiego się nie stanie.
– Mogłeś ją zatrzymać! Gdybyś tylko się postarał!
– Nie miałem szans. Dobrze o tym wiesz.
– Ona chce być taka jak ty. Ona jest taka jak ty!
– Myślałem, że mnie lubisz. – Nie odpowiedziała. – Chodź,
usiądź – poprosił. – Nie widzę twojej twarzy.

Sarah nie ruszyła się z miejsca.

– Jesteś idiotą!

– Słyszę dziś te słowa nie pierwszy raz.

Zaciągnął się ostatni raz, wrzucił niedopałek do starego słoika stojącego obok ławki i szczelnie go zakręcił.

– Ciężki dzień? – Jej głos nabrał niemal tego brzmienia, które Bauer tak bardzo kochał.

– Miewałem gorsze.

Sarah siadła mu na kolanach. Położył głowę na jej ramieniu.

– Boję się – usłyszał jej cichy głos.

– Ja też – szepnął równie cicho.

Milczeli przez długą chwilę.

– Masz mokre spodnie?

– Nie tylko spodnie – odparł z wahaniem.

– Co się stało?

– Dowiesz się jutro z lokalnej gazety – wymigał się od odpowiedzi. – Idziemy do domu? Jest mi okropnie zimno.

Później, gdy leżeli w łóżku, a Bauer wreszcie usłyszał spokojny oddech żony, zaczął się modlić.

4

Na chodniku stał znicz. Płomień delikatnie przeblyskiwał przez czerwony plastik. Mariana nie zwróciłaby na niego uwagi – w tym mieście było za dużo świateł, a każde z nich stanowiło w jej oczach obietnicę przyszłości.

Gdy wysiadła w Dortmundzie z samolotu tanich linii lotniczych, niebo było tak samo szare jak w wiosce, którą opuściła wczesnym rankiem. Jazda autobusem trwała dłużej niż lot. Dziewczyna cały czas ścisnęła w ręce paszport. Gdy otwierała go, by spojrzeć na małe zdjęcie i upewnić się, czy faktycznie jest wystarczająco ładna, kartki szeleściły, przypominając o swojej nowości. Sprezentowała go sobie na osiemnaste urodziny. Na lotnisku w Krajowej z dumą wręczyła paszport celnikowi. Wstrząsnęła nią nieostrożność, z jaką obmacywał jej największy skarb. Gdy chwilę później wchodziła po trapie do samolotu, nie pamiętała już o całym wydarzeniu. Od tygodni cieszyła się na tę chwilę – od czasu, gdy znów się spotkała z Lacrimą.

Do końca ósmej klasy pochodząca z sąsiedniej miejscowości Lacrima była jej najlepszą szkolną koleżanką. Później ich drogi się rozeszły. Mariana dostała się do liceum, Lacrimie się nie udało. Przyjaciółki widywały się rzadko, a później wcale, bo Lacrima zniknęła. Nikt nie wiedział, co się z nią stało. Rodzice przesta-

li wspominać o córce. Krążyły plotki, że wyjechała do Niemiec. Mariana nie mogła w to uwierzyć – przecież Lacrima miała tylko szesnaście lat. Dopiero dwa lata później dowiedziała się, że to była prawda.

Tego dnia czarna terenówka wspięła się szutrową drogą do wioski. Pierwsze zauważyły ją dzieci, które zaczęły biec obok samochodu. Luksusowe auto z zaciemnionymi szybami przejechało przez wieś i zatrzymało się przed domem dziadków Mariany. Otworzyły się tylne drzwi i wysiadła Lacrima. W butach na wysokich obcasach i drogich ciuchach – wyglądała na zakurzonej łące jak postać z innej planety. Mariana, słysząc krzyk dzieci, wyszła z domu. Rozpoznała ją od razu, choć przyjaciółka miała teraz błyszczące blond włosy. Padły sobie w ramiona, babcia zrobiła lurowatą kawę, jadły roladę orzechową, którą przywiozła Lacrima. Babcia zaprosiła kierowcę na kawałek ciasta, ale nie zareagował – siedział w aucie, palił papierosy i gapił się na dom. Mariana widziała go z okna, ale wkrótce przestała zwracać na niego uwagę.

Przyjaciółki wygłupiały się i chichotały, jakby nigdy się nie rozstawały. Mariana opowiadała wioskowe plotki z ostatnich dwóch lat. Lacrima z zachwytem opisywała swoje życie w Niemczech oraz pracę kelnerki, a Mariana, mimo że nie chciała, czuła zazdrość. Tutaj nikt nie mógł znaleźć pracy, niezależnie od tego, jak dobre miał świadectwo.

Potem Lacrima powiedziała, że chce się przejść do wioskowej studni. Dawniej zawsze tam siadywały. Gdy tylko wyszły z domu, terenówka ruszyła i zaczęła sunąć kilka metrów za nimi. Marianie wydało się to dziwne, ale Lacrima wydawała się nie zwracać na to uwagi. W butach na obcasach gonila dzieciaki. Po-

tem usiadły na obramowaniu studni, mając nogami. W końcu dzieci się znudziły i dziewczyny zostały same. Nagle przyjaciółkę ogarnęło zmęczenie. Powiedziała coś o unoszącym się w powietrzu zapachu, za którym będzie tęsknić. Mariana czuła tylko woń nadpalonego plastiku. Tutaj wiecznie śmierdziało nadpalonym plastikiem, bo nie wywożono śmieci i wszyscy palili je na polach. Mariana nie rozumiała, jak można tęsknić za tym smrodem. Wtedy Lacrima wybuchnęła śmiechem, jakby koleżanka opowiedziała dowcip stulecia, i na chwilę powróciła szalona dziewczyna, jaką była dawniej. A potem zadała jej pytanie, które sprawiło, że niewiele brakowało, a Mariana wpadłaby do studni. Pytanie, które wszystko zmieniło.

Osiem tygodni później Mariana po raz pierwszy wsiadła do samolotu. Podświadomy lęk, że Lacrima mogła ją nabrać, ustąpił wszechogarniającemu uczuciu, że właśnie zaczyna się jej nowe życie. Piękne życie – bez smrodu śmieci, z ciuchami takimi, jakie nosiła Lacrima, z bieżącą wodą, własnym pokojem, a może nawet z małym mieszkankiem z wanną i centralnym ogrzewaniem. Oczywiście posyłałaby pieniądze dziadkom. Ale zostawałoby jej wystarczająco dużo, Lacrima jej to obiecała. Na pewno miała rację, Mariana dostała od niej przecież bilet lotniczy. Lacrima napisała, że zapłaciła za niego z napiwków zebranych tylko jednego wieczoru. Kosztował prawie trzydzieści euro, czyli ponad sto trzydzieści lei! Nawet miejscowy nauczyciel, który zarabiał więcej niż ktokolwiek z jej znajomych, nie zarabiał w przeliczeniu więcej niż sto lei na dzień! Lacrima dostawała w jeden wieczór więcej napiwków. Tak, Mariana będzie wysyłała do domu tyle pieniędzy, ile tylko zdoła. Będzie zostawiać dla siebie tylko te napiwki.

Po wylądowaniu w Dortmundzie ponownie ogarnął ją strach, bo niebo nie było błękitne, choć powinno, a Lacrima na nią nie czekała. Mariana pierwsza przeszła przez nieobscadzone wyjście dla obywateli Unii Europejskiej. Nie musiała czekać na bagaż, bo żadnego nie nadała. Wcześniej przejrzała z Lacrimą swoje ubrania, ale jedynie dżinsowa spódnica i obcisły sweter zdały egzamin w oczach przyjaciółki. Wszystko inne było zbyt tandetne jak na lokal, w którym pracowały tylko najładniejsze dziewczyny. Odrzuciła nawet bieliznę. W pierwszych dniach miała jej pożyczyć coś do ubrania, a potem planowały pójść na zakupy.

Mariana, przepelniona radosnym oczekiwaniem, weszła przez automatyczne drzwi do niskiej hali przylotów, lecz nigdzie nie widziała przyjaciółki. Jej strach narastał przez prawie pół godziny, więc gdy Lacrima wreszcie nadeszła, chwytając się na wysokich szpilkach, Mariana nie potrafiła już się cieszyć. Nie dostrzegła też nic z beztroskiej radości, którą przyjaciółka rozsiewała wokół siebie podczas spotkania cztery tygodnie wcześniej. Wyglądała teraz na bardzo zmęczoną, tak jak przez chwilę wtedy – przy studni. Towarzyszył jej ten sam mężczyzna, który przywiózł ją do wioski. Teraz też nie spuszczał jej z oczu i nie odzywał się ani słowem. Gdy objęły się na powitanie, chrząknął niecierpliwie i wskazał głową wyjście. Lacrima od razu puściła przyjaciółkę i pociągnęła ją przez halę, mówiąc, że muszą się pospieszyć, bo chce je widzieć szef.

Tuż przed wyjściem stał czarny, błyszczący mercedes. Lacrima podeszła do samochodu, wepchnęła Marianę na tylne siedzenie i usiadła obok. Mariana jeszcze nigdy nie siedziała w takim drogim samochodzie. Pachniało skórą i drewnem, a gdy milczący

mężczyzna upchnął swoje masywne ciało za kierownicą, do tych woni dołączył zapach potu i wody po goleniu.

Jechali z dużą prędkością autostradą, która była gładsza i czystsza niż jakakolwiek droga, którą Mariana widziała w swoim życiu. Tysiące pytań kotłowały się w jej głowie, ale zauważyła, że Lacrima nie chce rozmawiać. Przyglądała się więc przesuwającemu się za szybą krajowi, który miał się stać jej nową ojczyzną.

Po chwili Lacrima obcesowo odwróciła jej twarz do siebie, zmierzyła spojrzeniem i ochrzaniła, że jest bez makijażu. Skrytykowała też jej ubranie, choć przecież sama wybrała ten zestaw. Mariana miała na sobie nawet nowe rajstopy z lycry – najdroższą rzecz, jaką kiedykolwiek kupiła. Nie protestowała, ponieważ jej przyjaciółka była zdenerwowana i na pewno chciała tylko, żeby zrobiła dobre wrażenie na szefie. Lacrima wyjęła kosmetyczkę i zaczęła ją malować, co w samochodzie nie było łatwym zadaniem. Milczący kierowca co rusz hamował i przyspieszał gwałtownie, płosząc z lewego pasa jadące wolniej samochody.

W końcu utknęli w korku. Lacrima wreszcie mogła namalować Marianie cienkie kreski na powiekach, wytuszować rzęsy, poprawić kontur ust. Dopiero wtedy uspokoiła się nieco.

Kierowca włączył radio. Mariana zauważyła, że obserwuje je we wstecznym lusterku. Nie podobały się jej jego oczy. Za to fajny był kawałek, który leciał w radiu. Pharrell Williams śpiewał, że jest szczęśliwy. Powoli przestawała się bać. Po piosence nadano informacje o sytuacji na drogach. Uczyła się w szkole niemieckiego jako drugiego języka obcego, więc zrozumiała, że gdzieś zamknięto jakiś most. Kierowca chrząkał złowrogo, Lacrima miękkim pędzlem nakładała na jej twarz puder. Łaskotało, więc Mariana roześmiała się, lecz przyjaciółka uciszyła ją szorstko.

Wreszcie skończyła i oceniła swoje dzieło. Chyba ją usatysfakcjonowało, bo schowała kosmetyczkę. Powoli zapadał zmierzch. Mariana odważyła się spytać, jak długo jeszcze będą jechać. Wtedy Lacrima pokazała jej wysoką wieżę za oknem. W tej samej chwili na tle ciemniejącej linii horyzontu rozbłysnął strumień światła, najpierw blado, później coraz jaśniej, przeraźliwie zielono. Zafascynowana Mariana spytała, co to jest.

– *Der große grüne Schwanz*¹ – odpowiedziała po niemiecku Lacrima i dodała, że właśnie tam pracują.

Mariana nie знаła słowa „Schwanz”, ale nie przejęła się tym zbytnio. To był znak, na który czekała, był lepszy nawet od słonecznego nieba. Miała przed sobą świetlaną przyszłość – była w Niemczech, miała pracę i uśmiech na twarzy. Samochody ruszyły z miejsca i milczący kierowca zjechał z autostrady. Zapalało się coraz więcej świateł: reflektory samochodów, uliczne latarnie, reklamy, ale żadne z nich nie świeciło tak jasno jak zielona wieża.

W końcu skręcili w wąską ulicę, zabudowaną z jednej strony pięknymi, starymi domami. Po drugiej stronie stała wieża, która wyrastała z przypominającego fabrykę budynku. Przejechali tuż obok. Mariana przyglądała się jej przez szybę, gdy nagle cisnęło nią o przednie siedzenie; zahamowali ostro na środku pustej ulicy. Kierowca wyskoczył z auta i pobiegł w kierunku czerwonego znicza, stojącego na chodniku przed jednym z domów. Nadepnął na niego z taką siłą, jakby chciał kogoś zabić. Wystraszona Mariana popatrzyła na Lacrimę, ale ta tylko wzruszyła ramionami, uciekając przed jej spojrzeniem. Kiedy milczek skończył, na chodniku została biała masa z czerwonymi kawałkami plastiku. Ze stoickim spokojem wrócił za kierownicę i zaparkował na najbliższym wolnym miejscu.

¹ Niem. ‘wielki zielony kutas’.

Wysiedli. Mariana dopiero teraz zauważyła reklamę na szczycie domu. Neonówki układały się w kształt nagiej kobiety z wielkim biustem. Przystanęła, ale Lacrima chwyciła ją mocno za rękę i pociągnęła w kierunku bocznego wejścia. Metalowe drzwi, pomalowane na ten sam kolor, co dom, nie miały ani klamki, ani uchwyty, tylko zamek. Kierowca otworzył go kluczem zwisającym na łańcuszku przy jego kieszeni. Za drzwiami były schody prowadzące w dół, do piwnicy. Wzdłuż ścian stały skrzynki oraz kartony z szampanem i mocniejszymi trunkami. Gdy minęli drzwi do chłodni, Mariana się odprężyła. Wyglądało na to, że są w piwnicy jakiegoś lokalu.

Na końcu korytarza przez szparę w drzwiach przebłyskiwało światło. Podeszli tam. W wykafelkowanym pomieszczeniu na gołym betonie leżał dywan, a na nim stało masywne biurko. Za biurkiem, przy laptopie, siedział mężczyzna. Jego garnitur miał ten sam błyszczący odcień czerni, co mercedes, z którego przed chwilą wysiadły. Gdy podniósł wzrok, Lacrima popchnęła przyjaciółkę do przodu i szepnęła, że to szef. Mariana posłała mu uśmiech, ale on tylko zmierzył ją wzrokiem i wyciągnął rękę. Koleżanka podpowiedziała jej, że musi mu dać paszport. Mariana się zawahała, ale zaraz poczuła, że Lacrima znów ją popycha. Tanie buty Mariany zanurzyły się w miękkim dywanie. Wyjęła dokument i podała szefowi. Włożył go do wewnętrznej kieszeni marynarki, nawet na niego nie patrząc. Potem kiwnął głową do kierowcy.

Ten chwycił Marianę za ramię. Zaskoczona, spojrzała na przyjaciółkę, której oczy nagle napęłniły się łzami. Lacrima, szlochając, wyszeptala tylko: „przepraszam”. Potem mężczyzna pociągnął Marianę na korytarz, otworzył metalowe drzwi i we-

pchnął ją do niewielkiego pomieszczenia. Zatoczyła się i uderzyła kolanami o żelazny stelaż łóżka. Zaczęła krzyczeć. Kierowca zadał jej krótki, mocny cios pięścią w prawy bok. W jej oczach błysnęło zdumienie. W następnej sekundzie jej wnętrzości zwinęły się w płonącą kulę, która wysysała powietrze z płuc oraz całą siłę z mięśni. Zrobiło się jej ciemno przed oczami, kolana się pod nią ugięły. Zanim upadła, kierowca chwycił ją i rzucił na brzuch, na poplamiony materac. Mariana desperacko próbowała złapać powietrze. Nie mogła się ruszyć, jeszcze nigdy nic ją tak nie bolało. Czowała, jak kierowca podciąga jej spódnice i zrywa z niej drogie rajstopy. Wiedziała, że może być już tylko gorzej.

5

Obudził się, czując drapanie w gardle oraz ten rodzaj winy, którego nie potrafił bliżej zdefiniować. Z kuchni nadpłynął zapach kawy. Zazwyczaj to Bauer wstawał pierwszy, by przygotować śniadanie dla żony i córki, ale dziś było mu trudno podnieść się z łóżka. Powlókł się do łazienki. Sfatygowane deski podłogowe skrzypiały przy każdym kroku; czuł się starszy od nich. Wziął prysznic, tak gorący, jak tylko mógł wytrzymać. Parująca woda stopniowo wymywała ból z jego mięśni. Na próżno próbował sobie przypomnieć, co mu się śniło – senne obrazy zniknęły. Wciąż jednak odczuwał lęk przed zejściem z tego świata oraz poczucie winy. Zakręcił wodę i w tej samej chwili usłyszał dzwonek telefonu.

Sarah, już w wyjściowym stroju, wciąż rozmawiała przez telefon, gdy wszedł do kuchni. Uśmiechając się, uformowała ustami imię Niny. Kiwnął głową i usiadł obok żony. Poczul ulgę.

– Chcesz z nim porozmawiać? Właśnie zszedł – powiedziała Sarah do telefonu. Odpowiedź córki wywołała na twarzy matki uśmiech. – Przekażę mu. – Nagle ton jej głosu się zmienił. – Nie, nie, nadal nie uważam, że to było okay. Ani trochę. Ale o tym porozmawiamy, jak wrócisz. Do tego czasu dzwoń codziennie, a najlepiej dwa razy dziennie: rano i wieczorem! A jak coś się

stanie, masz zadzwonić od razu, zrozumiałaś? ...Dobrze, ale nie zbliżaj się do żadnych anarchistów, słyszysz? ...Nina?

Sarah odłożyła telefon, potrząsając głową. Mimo to nie przestawała się uśmiechać.

– Mam cię ochrzanić – zwróciła się do męża. – Za to, że nie spełniasz swoich obowiązków.

– Których konkretnie?

– Śniadanie dla twoich kobiet.

– Przykro mi, ale na miejscu jest tylko jedna z nich. – Uśmiechnął się.

– Tego „tylko” nie słyszałam!

– Jak ona się czuje?

– Zatrzymała się razem z grupą w salce kościelnej. Ksiądz też chce demonstrować.

– Brzmi przekonująco.

– Dla mnie nie, odkąd poznałam ciebie. – Sarah wstała.

– Przecież wiesz, że jestem jedyny w swoim rodzaju – odparł, mając nadzieję na jej uśmiech.

Podala mu gazetę. Na pierwszej stronie dodatku lokalnego umieszczono nieostre zdjęcie, najwyraźniej zrobione komórką. Widać było na nim most nad Renem i ciemną, niewyraźną plamę w połowie drogi między barierką a wodą. Bauer wpatrywał się w gazetę, gdy Sarah pochyliła się nad nim.

– Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, rozwiodę się z tobą – powiedziała bardzo spokojnym głosem, a następnie pocałowała go w usta i wyszła.

Przeczytał artykuł i stwierdził, że wcale nie wypadł tak źle. Chociaż inspektor Lutz na pewno będzie innego zdania. Nie wymieniono wprawdzie pełnego nazwiska Bauera, ale „policyjny du-

chowny B.” wystarczyło. Ostatnimi czasy Lutz był podejrzanie obojętny. Bauer stawiał na ciszę przed burzą. Odkąd dwa razy w tygodniu przyjmował chętnych na miejscu, coraz trudniej było mu schodzić z drogi złośliwemu komendantowi. Akurat dziś rano przypadał dzień konsultacji.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Wyrzwał przez okno, na ulicy stało służbowe auto Vereny. Przyłapał się na tym, że liczy na nagły wypadek. Chyba nie stał się aż tak cyniczny? Otworzył drzwi.

Verena nigdy nie traciła czasu na grzecznościowe formułki.

– Keunert nie żyje.

Bauer od razu wiedział, skąd się wzięło jego poczucie winy.

– Cholera, zapaliłem papierosa... – wymknęło się mu.

6

Wszystko poszło źle. Żona zrobiła rano kawę, nadkomisarz Dohr stała w jego kuchni, a Keunert się zabił.

Bauer ciężko opadł na kuchenne krzesło. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

– Proszę sobie wierzyć, w co pan chce! Ja odpowiadam za fakty, a faktem jest, że Keunert leży z pękniętą czaszką za parkingiem na Starym Mieście. – Verena skrzyżowała ręce na piersiach. Opierała się o kuchenny kredens z lat pięćdziesiątych. Pierwszy mebel, który Sarah i Bauer kupili razem na pchlim targu do pierwszego wspólnego mieszkania. Przetrwał wszystkie przeprowadzki, aż w końcu dotarł aż tutaj, do rodzinnego domu Bauera. I nigdzie nie pasował lepiej.

Pani nadkomisarz za to zupełnie tu nie pasowała. Zanim Bauer przyjął posadę w policji, złożył żonie pewną obietnicę. Sarah określiła ją jako jedenaste przykazanie, które brzmiało: „Nie przy-noś pracy do domu”. Do domu, czyli za próg drzwi wejściowych. To było dobre przykazanie, ponieważ chroniło rodzinę przed okropno-ściami, z którymi musiał się mierzyć niemal codziennie. Dzisiaj je złamał, a wczoraj zerwał umowę z Bogiem o paleniu.

– Czego tam szukał? – wychrypiał. – Mam na myśli par-king.

– Chciał zaparkować? Jego samochód stoi na najwyższym poziomie. Stamtąd dostał się na dół – najkrótszą drogą.

Bauer spojrzął na Verenę. Cyniczna bywała tylko w pracy, gdzie miała opinię twardzielki. Już podczas ich pierwszego spotkania zorientował się, że była twardsza niż niejeden pokazowy macho z jednostki specjalnej, przede wszystkim w stosunku do siebie. Przed nim nie musiała jednak zgrywać cyniczki, skądinąd wiedziała o tym. Czemu więc grała tę rolę? Coś w jej w twarzy nie pasowało do tonu jej głosu. Coś, co nadkomisarz wołała przed nim ukryć.

– Pracownicy z zakładów komunalnych znaleźli ciało – kontynuowała. – Na betonowej rampie przed kontenerami na śmieci.

– Była pani już na miejscu przestępstwa?

– Nie widzę tu żadnego miejsca przestępstwa. Samobójstwo nie jest czynem karalnym, nawet jeśli pana klika widzi to inaczej.

Bauer mógł wysunąć kontrargumenty. Nawet jego bezpośrednia konkurencja, czyli kościół katolicki, nie odbierała samobójcom łaski boskiej. Verena jednak tylko szukała możliwości wyładowania się. Gdy weszła za nim do kuchni, automatycznie zaferował jej śniadanie, ale odrzuciła jego propozycję. Jeśli dobrze sobie przypominał, parking na skraju Starego Miasta miał sześć pięter. Wiedział, co się działo z człowiekiem po upadku z takiej wysokości – oraz co się działo z duszą obserwatora, który zobaczył zmasakrowane ciało.

Podniesienie się z krzesła kosztowało go wiele wysiłku. Wyjął kubek z szafki i nie pytając, nalał Verenie kawy. Przyjęła poczęstunek w milczeniu. Piła kawę bez żadnych dodatków, małymi łykami. Dał jej czas. Zegar kuchenny z wypłowiałego zielonego plastiku odliczał sekundy.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem, 21:37.

To z pewnością nie były dane pochodzące od medyka sądowego. Nawet jeśli odbyła się już obdukcja, nie było możliwości tak dokładnego określenia czasu zgonu. Bauer szukał oznak ironii w twarzy Vereny, ale niczego takiego nie dostrzegł. W oczy rzucał mu się tylko ten nietypowy wyraz twarzy, którego nie potrafił określić.

– Robi sobie pani ze mnie jaja?

Pionowa zmarszczka między jej brwiami była oznaką zderzenia.

– Policjant popełnia samobójstwo, a pan myśli, że się nabijam?

– Oczywiście, że nie. Nie rozumiem tylko...

– Do jasnej cholery, miał na ręce zegarek, który nie przetrwał upadku!

No tak, zegarek. Bauer czuł, że się wygłupił. Nie był wprawdzie policjantem, ale od prawie pięciu lat pracował na komendzie. Uzyskał kompetencje terenowe, jak określał je *Poradnik dla duchownych policyjnych*. Poszedł zresztą o krok dalej niż większość, jeśli nawet nie wszyscy jego koledzy po fachu. Znał każdy etap postępowania, towarzyszył policjantom podczas najtrudniejszych interwencji, przeżywał z nimi najbardziej krytyczne momenty. Znał ich sposób mówienia i myślenia.

Poradnik ostrzegał przed utratą profesjonalnego dystansu oraz przed pokusą bycia lepszym policjantem. Bauer jednak nie chciał być policjantem. *A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata*². Te słowa stanowiły definicję jego pracy. Dla nich był gotów zrezygnować z jakiegokolwiek dystansu.

² Biblia Tysiąclecia, Mt 28,20, Poradnik, s. 134.

Chciał służyć policjantom i ofiarom. A jeśli to będzie konieczne – także sprawcom.

Keunerta dotyczyły wszystkie trzy aspekty. Trzy ważne powody, by przy nim zostać. Lecz Bauer pozwolił mu odejść. Dwie godziny później policjant rzucił się na betonową rampę z najwyższego poziomu parkingu. Przecież dopiero tydzień temu właśnie Keunert zaopiekował się młodym aspirantem, stojącym tuż obok ciała dziewczyny, która spadła na ulicę z podobnej wysokości.

– Mogę wezwać pańskiego kolegę.

Słowa Vereny wyrwały Bauera z zamyślenia. Spojrzał na nią, zdumiony.

– Vaalsa? Keunert jest ewangelikiem... Był ewangelikiem.

– A jego żona? O nią teraz chodzi. Jeśli woli pan zrezygnować...

Nagle zrozumiał! Troska! Właśnie to Verena próbowała przed nim ukryć: martwiła się o niego. Mogła przecież zadzwonić, ale jednak przekazała mu wiadomość o śmierci Keunerta osobiście. Tak jak zrobiłby to Bauer, gdyby miał przekazać żonie i synowi tę informację. Verena chciała go wesprzeć, ponieważ obawiała się, że będzie się czuł współwinny śmierci Keunerta. Stał obok tego mężczyzny u stóp otchłani, skoczył dla niego i z jego pomocą wyczołgał się na brzeg, a potem nie zatroszczył się o dalszą profesjonalną opiekę, tylko zaufał swojej intuicji.

– Wezmę tylko kurtkę.

Zostawił Verenę w kuchni. Pokonywał schody susami, próbując przegnać z ciała paralizujące poczucie ciężkości. Potknął się o przedostatni stopień, próbował jeszcze złapać poręcz, ale pęd porwał go do przodu, dłoń zdołała chwycić tylko powietrze, a nogi nie nadążyły za ciałem. Z łoskotem upadł na drewnianą podłogę, boleśnie tłukąc kolana.

– Wszystko w porządku? – usłyszał z dołu.

– Tak, wszystko okay – wyduśił.

Wstał z trudem, czując przepływającą przez żyły adrenalinę, której wyrzut spowodowany był raczej lękiem niż bólem. Dokuśtykał do szafy i otworzył ją. Przez chwilę wpatrywał się w ubrania. Nie mógł się zdecydować: kurtka od munduru czy raczej coś neutralnego? Po raz kolejny pomyślał o poradniku, który poświęcał cały rozdział wyborowi odpowiedniego stroju na taką okazję... Zatopił się w myślach. Co się z nim, do diabła, dzieje? Czemu nagle czuje się jak żółtodziób? Jak zawsze zaufał swojej intuicji. Czyżby nagle zaczęła go zawodzić?

Wybrał ciemnoniebieską kurtkę.

Verena czekała przy schodach.

– Dokąd? – zapytał, biorąc kluczyki od samochodu służbowego.

– Obermeiderich, niedaleko Landschaftsparku. Pojadę pierwsza.

Bauer zatrzasnął drzwi. Było chłodno, liście na drzewach wyglądały tak, jakby przez noc straciły cały kolor. Nie poruszała się nawet jedna gałązka, szare powietrze zastygło bez ruchu. Samochód służbowy Vereny parkował tuż za jego autem.

– Co znaczą pańskie słowa o paleniu? – zapytała, otwierając drzwi swojego wozu.

– Nic – skłamał Bauer. – O której byliśmy wczoraj na moście?

– O 17:30. Czemu pan pyta?

– Bez żadnego szczególnego powodu.

– Jest pan cholernym kłamcą.

Wsiedli, Bauer włączył silnik i zaczekał, aż Verena ruszy pierwsza. Cztery godziny przed śmiercią Keunerta spojrział w jego oczy i zobaczył w nich rozpacz, strach i obezwładniającą złość. Ale nie zobaczył w nich samobójcy.

Co więc się wydarzyło przez te cztery godziny?

7

Verena pędziła na złamanie karku autostradą A42. Bauer wybrałby krótszą trasę, wzdłuż portu i przez miasto, ale ona zamontowała na dachu samochodu koguta i systematycznie oczyszczała lewy pas. Wsiadł jej na zderzak.

Piętnaście minut później zbliżali się do terenu Landschaftspark Nord, w którego centrum znajdowała się nieczynna huta. Ostatni z pięciu pieców został wygaszony w 1985 roku. Teren fabryki przekształcono w ogromny park rekreacyjny. Historię górnictwa opracowano w stylu pedagogiki przygody – udostępniono gazometr dla pasjonatów nurkowania, stowarzyszenie alpejskie urządziło park wspinaczkowy, a wszystko to w otoczeniu jedynej w swoim rodzaju roślinności, porastającej poindustrialne nieużytki. Powstał pokazowy projekt dla zaangażowanych społecznie speców od przekształceń strukturalnych, a dla wielu byłych hutników, którzy zaharowywali się na tym terenie, zakonserwowany i wystawiony na pokaz trup ich kultury pracy.

Verena zdjęła nogę z gazu, Bauer nacisnął hamulec. Zjechała na Neumühl, a zaraz potem skręciła w Wiesbadener Straße i minęła wiadukt dla pieszych, tuż obok ratusza. Bauer pamiętał betonowy kloc urzędu jeszcze bez przyjaznych kolorów. Tuż za nim widać było Hagenshof. Osiedle wieżowców zaprojektowano

i wybudowano w latach siedemdziesiątych jako obiekt o podwyższonym standardzie, ale wraz z kryzysem w hutnictwie podupadło i stało się najbardziej zieloną – i najbardziej problematyczną – dzielnicą miasta. W ostatnich latach, dzięki intensywnej pracy socjalnej, Hagenshof stał się spokojniejszy.

Do żadnej innej części miasta określenie „park mieszkaniowy” nie pasowało lepiej. Jechali po długim łuku przez rozległe tereny zielone z bujnym drzewostanem, między pięcio- i dziesięciopiętrowymi blokami. Droga prowadziła do galerii Mercator-Center. Verena zaparkowała pięćdziesiąt metrów wcześniej, za kioskiem z napojami, który miał kształt piramidy i był częściowo zakryty przez drzewa i krzewy. Stojący obok dwaj mężczyźni zapijali śniadanie piwem. Zamilkli, gdy Verena i Bauer wysiedli.

– Dobry, gdzie znajdę dom numer sześć? – Nadkomisarz podeszła do nich.

Wymienili spojrzenia. Wreszcie jeden z nich podniósł masywne ramię i niejasno wskazał w jedną stronę.

– Iść za drogą. – Miał silny wschodnioeuropejski akcent.

Verena podziękowała. Bauer czuł ich spojrzenia na plecach, gdy oboje oddalili się we wskazanym kierunku.

Zadbana ścieżka wiła się między krzewami i drzewami parku. Trawniki musiały zostać skoszone dzień wcześniej, ponieważ wciąż było czuć wiszący w powietrzu zapach świeżo ściętej trawy. Po kilku krokach dotarli do rozwidlenia – ścieżki prowadziły do dwóch różnych kompleksów mieszkalnych.

– Może jakieś boskie natchnienie? – Verena zwróciła się do Bauera.

Nie zastanawiając się długo, duchowny minął ją i skierował się do bloku stojącego bliżej galerii handlowej. W tym miejscu

kończyła się Wiesbadener Straße. Jeśliby spojrzeć z innej perspektywy, był to też początek tej ulicy, a zapewne zarazem numeracji domów.

Długi budynek miał osiem pięter, jego fasadę dowartościowano nową farbą. Widać było trzy wejścia, nad pierwszym błyszczała wielka pomarańczowa dwójka.

– To będą trzecie drzwi.

Verena wyglądała na niewzruszoną.

– Zdradził to panu numer pierwszej klatki? Tak?

– Kto wie.

Na jej twarzy nie zadrżał ani jeden mięsień, jedynie oczy zdradzały cię uśmiechu. Pierwszego tego ranka.

Znowu poszła przodem. Przy rzędach guzików na domofonie pod klatką numer sześć widniały porządne tabliczki z nazwiskami. Nazwisko Keunert znaleźli w najwyższym rzędzie. Verena wcisnęła kilka przypadkowych guzików poniżej. Bauer od razu odgadł, że nie chce tłumaczyć przez domofon powodu ich wizyty. Z niewielkiego głośnika dobyła się gmatwanina głosów. Gdy usłyszeli brzęczyk, Verena pchnęła drzwi z metalu i zbrojnego szkła. Bauer wszedł za nią.

Winda też była czysta, tylko jeśli dokładnie spojrzeć, można było odkryć na stalowych ścianach ślady ciemnej przeszłości dzielnicy: cienie tagów i graffiti, pozostawionych przez chuliganów. Bauer zastanawiał się, jak udało się je zmyć i kiedy pojawiają się kolejne.

Verena wcisnęła guzik z ósemką. W ostatnich latach wielokrotnie wspólnie przekazywali wiadomości o śmierci, ale tylko na początku ustalali przebieg rozmowy. Ostatecznie i tak wszystko toczyło się swoim rytmem.

Starszy aspirant tureckiego pochodzenia, niecałe dwadzieścia lat, zginął na autostradzie A59 podczas zabezpieczania miejsca wypadku. Wciąż mieszkał z rodzicami i trójką młodszego rodzeństwa. Bauer nie był w stanie przygotować młodej nadkomisarz na pierwotną siłę żałoby tureckiej rodziny wielopokoleniowej. To był jeden jedyny raz, gdy widział jej bezradność, potem już nigdy nie musieli przygotowywać się do rozmów. Nie było takiej potrzeby, polegali na sobie.

– Ja zacznę – powiedziała teraz Verena. Wpatrywała się w zmieniające się cyferki piętér, jakby bała się, że przegapią właściwe. – Żona ma na imię Annette, syn Tilo. Dopytałam wśród kolegów, chłopak ma jakieś czternaście lat.

– Piętnaście – sprostował Bauer. – Rozmawialiśmy o tym na moście.

Czuł ucisk w żołądku, ale nie dlatego, że winda zaczęła hamować. Zastanawiał się, czy Keunert w tych czterech godzinach przed śmiercią spotkał żonę i syna. Jak wytłumaczył swoje mokre ubranie? Czy powiedział coś na temat mostu? Bauer nie potrafił sobie tego wyobrazić. Szczerość była podstawową zasadą przekazywania wiadomości o śmierci i nie zamierzał jej złamać, ale zdawał sobie sprawę, że będzie trudno. Przyjęcie do wiadomości tragicznej śmierci bliskiego było bardzo trudne, ale zaakceptowanie jego samobójstwa było praktycznie niemożliwe. Jak więc wytłumaczyć pierwszą próbę samobójstwa i swoją w nim rolę? Swoje późniejsze zachowanie?

Weszli w oświetlony neonówkami korytarz. Na drzwiach mieszkania Keunertów wisiała kolorowa gliniana tabliczka z nazwiskiem. Nina zrobiła podobną w czwartej klasie, jako prezent bożonarodzeniowy dla rodziców. Duma, jaka odmalowała się na jej twarzy, gdy w Wigilię wręczała rodzicom prezent, niemal

wycisnęła mu z oczu łzy. Być może Tilo był tak samo dumny ze swojego dzieła? Zawieszona przez Keunerta tabliczka pozostała na drzwiach wiele lat. Bauer nawet nie pamiętał, gdzie się podział prezent od córki.

Verena zadzwoniła i równocześnie zapukała do drzwi. Annette Keunert, w krótkim, jedwabnym szlafroku, otworzyła kilka sekund później. Widać było jej umięśnione nogi i dekolt, zbyt jędrny na jej wiek. Była umalowana, w elegancko wymanikiurowanej dłoni trzymała cienkiego, białego papierosa takim gestem, jakby wyćwiczyła go przed lustrem. Jeden z ozdabiających lakier kamyczków odpadł i pozostawił mały krater, a pod sztucznymi paznokciami widać było żółtawy cień prawdziwych.

Nagle Bauer ujrzał przed oczami całe życie żony policjanta. Początkowe marzenia, pierwsze problemy, krótki okres szczęśliwego macierzyństwa, samotność, kłótnie, wrogość, milczenie.

– Pani Annette Keunert? – zapytała Verena.

– Tak.

– Nadkomisarz Dohr i duchowny Bauer. Czy możemy wejść? – Verena wyciągnęła legitymację służbową.

– Jeśli chcą państwo rozmawiać z moim mężem, to go nie ma. Miał nockę i pewnie znów ma nadgodziny.

– Chcemy porozmawiać z panią.

– Ze mną? Dlaczego? O co chodzi?

Bauer wyczuł w jej głosie zadawniony lęk, o którym dawno zapomniała i który teraz próbowała utrzymać pod kontrolą.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panią w środku. – Verena była uprzejma, ale zarazem na tyle stanowcza, że Annette szerzej otworzyła drzwi.

– Porozmawiajmy w kuchni. Mój syn jeszcze śpi, a jego pokój jest obok salonu. Zaczyna dopiero na trzecią lekcję. Nie chcę go obudzić, bo tego nie znosi, od razu robi się wściekły. Nie ma tego po mnie, ja jestem skowronkiem. Zrobić państwu cappuccino? A może espresso? Nie potrwa to długo, ekspres wszystko robi sam, nawet piankę. Prawdziwy włoski ekspres na kawę ziarnistą, a nie to dziadostwo na kapsułki z Tchibo.

Lśniący aparat stał na błyszczącym kuchennym blacie, tuż obok thermomiksu, który wyglądał na nigdy nieużywany. Annette Keunert podążyła za spojrzeniem Bauera.

– Rewelacyjne urządzenie – zachwyciła się nerwowo. – Trzeba tylko zrobić zakupy, wrzucić wszystko do miski, a resztę załatwi sam. Nie muszę już właściwie gotować i wreszcie mam więcej czasu dla siebie. – Zaciągnęła się gwałtownie. – Pan też ma thermomiks?

– Usiądziemy? – Bauer przecząco potrząsnął głową.

Wpatrywała się w niego, tak jakby to jedno słowo wyrażało wszystko, na co czekał jej strach. Wszystko, co ostatecznie zniszczy jej życie.

– Proszę usiąść. – Zaprowadził ją do małego stołu, który stał pod oknem wąskiej kuchni. Trzy krzesła wystarczały dla małej rodziny; mamy, taty, dziecka. Delikatnie pchnął ją na to, przed którym stało niedopite cappuccino. Dopiero potem sami usiedli.

– Mamy dla pani przykrą wiadomość. Dzisiaj rano znaleziono pani męża. Zginął w nocy. Bardzo nam przykro. – Verena przekazała wiadomość jasno i klarownie, lecz w stężalej twarzy Annette nie odmalowywało się żadne uczucie. – Pani mąż nie żyje – powtórzyła.

– Nie żyje – odezwała się Annette, tak jakby musiała się zastanowić nad znaczeniem tych słów.

– Tak.

– Dlaczego? To znaczy... jak...? – Annette nie dokończyła zdania; ponownie zaciągnęła się papierosem.

– Spadł z dachu wielopoziomowego garażu na Starym Mieście. Wychodzimy z założenia, że to było samobójstwo.

– Samobójstwo? Walter... się zabił...?

– Tak sądzimy.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem, o w pół do dziesiątej.

– To niemożliwe. Wtedy był już od dawna na posterunku.

– Pani mąż zmarł wczoraj wieczorem. Popęłnił samobójstwo. – Verena potrząsnęła głową.

Nic nie wskazywało na to, że kobieta spodziewała się samobójstwa męża, że spostrzegła jakieś oznaki. Miała mętne spojrzenie, ale nie płakała. Bauer znał tę reakcję. Szok działał jak miejscowe znieczulenie, jeszcze nie czuła bólu, zwątpienia, smutku. Te uczucia nadejdą w swoim czasie, na razie Annette Keunert będzie funkcjonować.

Zgasiła papierosa w obrotowej popielniczce, włączyła mechanizm i pet zniknął. Patrzyła na kręcącą się pokrywę tak długo, aż się zatrzymała.

– Jak mam to powiedzieć synowi?

– Pomogę pani – odparł Bauer. – Zostanę, jeśli sobie pani tego życzy.

Zawahała się. Wyjęła z kieszeni szlafroka połyskujące fioletowo pudełko, sięgnęła po kolejnego papierosa, zapaliła i głęboko zaciągnęła się dymem.

– Tak chyba byłoby najlepiej – odparła.

Verena spojrzała na Bauera. Musiała wrócić do swoich obowiązków. Kiwnął głową, więc wstała i położyła na stole swoją wizytówkę.

– Odezwę się do pani. W razie potrzeby proszę dzwonić pod ten numer.

– Dokąd go zabraliście?

– Do kliniki.

– Muszę go... zidentyfikować?

– Nie. Ale jeśli chce pani zobaczyć męża, proszę zadzwonić.

Skontaktuję się z medycyną sądową.

Verena wyszła. Trzask drzwi był zbyt głośny. Annette wciąż paliła.

– Jak pan sądzi, powinnam obudzić syna? – zwróciła się do Bauera.

– Niech się wyśpi.

Przez jakiś czas panowała cisza.

– Wczoraj wieczorem ktoś mu złamał palec. – Annette nie mogła znieść milczenia.

Bauer musiał się przez chwilę zastanowić.

– Pani synowi?

– Tak, po prostu. Tilo zadzwonił do mnie wczoraj ze szpitala, bo nie miał ze sobą karty ubezpieczeniowej. Miałam mu ją zawieźć, ale... – urwała. Sprawiała wrażenie przyłapanej na gorącym uczynku, tak jakby prawie wymusnęło się jej to, czego nie chciała zdradzić.

– Zawiozła mu pani kartę? – zapytał Bauer.

– Nie mogłam, byłam poza domem. – Annette unikała jego wzroku.

– Rozumiem.

– Na zakupach z koleżanką. A potem poszliśmy coś zjeść we włoskiej restauracji. Nawet nie pamiętam, jak się nazywała. Nie zwróciłam na to uwagi. Oczywiście zagadałyśmy się, jak zawsze. Jak to kobiety, wie pan... – Mówiła nerwowo, próbowała nawet się uśmiechnąć, ale nie patrzyła na niego. Kłamała. Tylko dlaczego? – Zadzwoniłam do męża. Powiedział, że zaraz tam pojedzie.

– O której to było?

– Około ósmej.

– I widziała go pani później?

– Mówiłam przecież, że miałam spotkanie, a on miał nockę.

– Ale syn go widział?

– Tak sądzę. Gdy wróciłam do domu, Tilo już spał. Miał zabandażowaną rękę. Pieprzona dzielnica. Nigdy się tu nic nie zmieni! – Zgasiła papierosa i nerwowo włączyła mechanizm popielniczki.

– Długo tu pani mieszka?

– Od zawsze – parsknęła. Odnalazła uczucie, które było jej łatwiej znieść niż ból – złość. – Od dawna chciałam się stąd wyprowadzić, ale Walter się nie zgadzał! No więc zostaliśmy. Zmarnowałam w tej nędznej dziurze moje najlepsze lata. Przez niego! A teraz po prostu się zwinął. Cholerny gnojek!

– Jak to? Dokąd pojechał tata? – Głos brzmiał zbyt głęboko jak na chudzielca, który stanął w drzwiach kuchni. Palec wskazujący i środkowy jego lewej ręki były zabandażowane i usztywnione.

– Nie śpisz już? – spytała wystraszona Annette.

– Co to za facet?

– Nazywam się Bauer, jestem duchownym policyjnym. Cześć, Tilo. – Bauer wstał z krzesła i wyciągnął rękę do chłopaka, ten jednak zignorował gest i podszedł do matki.

– Gdzie jest tata?

Annette milczała.

– Stało się coś bardzo smutnego – odezwał się Bauer. – Twój ojciec zginął wczoraj wieczorem.

– Co za bzdury! – Tilo gapił się na niego nieprzenikniętym wzrokiem.

– Bardzo mi przykro. Twój ojciec nie żyje.

Bauer spostrzegł, jak w oczach chłopaka rozpadają się resztki dzieciństwa.

– Zabił się. – Annette zapaliła kolejnego papierosa. – Zostawił nas samych. – Szukała dawno utraconej bliskości z synem, składając ojca w ofierze.

Na twarzy chłopaka pojawił się grymas bólu. Nie był w stanie znieść tej wiadomości, więc jego uczucia skumulowały się w nienawiść. Taką, którą mógł wypluć wraz ze słowami:

– Co za dupek!

– Kompletny dupek – zawtórowała mu matka. – Włazł na ten pieprzony parking i po prostu skoczył. Miał nas całkowicie w dupie.

– Skurwysyn. – Tilo wściekłym gestem otarł łzy. – Co za pieprzony, tchórzliwy skurwysyn!

– Może wcale nie skoczył – nie wytrzymał Bauer.

Oboje spojrzeli na niego. W oczach chłopca cień nadziei, w spojrzeniu matki – wrogość. Miała nadzieję na nawiązanie kontaktu z synem, tymczasem Bauer przerwał tę nić porozumienia.

– Co pan opowiada? Komisarz powiedziała, że się zabił!

– Tak, rzeczywiście wychodzi z takiego założenia. – Bauer wiedział, że popełnił błąd. – Ale nie zakończono jeszcze śledztwa, być może...

– Co być może? Chce mi pan zasugerować, że go zamordowano? – przerwała mu Annette.

– Tego nie powiedziałem...

– Co za cholerne bzdury! Skończone kłamstwa! Nikt nie zamordował mojego męża! To był cholerny mięczak, zwykła baba! Niby kto miał go zabić? Przecież od dawna nikt nie brał go na serio... – Annette nie słuchała Bauera.

– Przestań! – wrzasnął nagle Tilo. – To twoja wina, że taki się stał!

Annette podskoczyła, jakby ją spoliczkował. Ale wiedziała, że ma rację.

– Tilo, synku, musimy się teraz trzymać razem... – wydukała.

Chciała go pogłaskać po policzku, ale chłopak odepchnął rękę, ozdobioną sztucznymi paznokciami.

– Odpierdol się! Pierdolicie się wszyscy! – Wybiegł z mieszkania, zatrzasnął drzwi z taką siłą, że powietrze w kuchni zadrzętało.

Bauer z trudem powstrzymał impuls, by za nim pobiec. Wiedział jednak, że w tym momencie nie ma szansy dotarcia do chłopaka. Spojrzał na Annette.

– Proszę pani? Czy ma pani kogoś, kto zająłby się panią? Przyjaciółkę?

– Nicole. – Mechanicznie kiwnęła głową.

– Czy mam do niej zadzwonić i poprosić, żeby przyszła?

– Proszę odejść. – Rzuciła mu wrogie spojrzenie.

– Nie powinna pani teraz być sama. Proszę mi dać numer telefonu pani przyjaciółki.

– Proszę wyjść z mojego mieszkania!

– Albo adres, podjadę do niej i ją przywiozę.

– Wynocha! Proszę się wynieść, do jasnej cholery!

To nie miało sensu. Bauer wyszedł. Gdy zamknął drzwi, pod butami poczuł chrzęst. Na podłodze leżały kolorowe odpryski gliny. Tabliczka odpadła od drzwi i rozbiła się na tysiące kawałków.